

POLA ŚMIERCI

**Marek
Ścieszek**



MAREK ŚCIESZEK
POLA ŚMIERCI

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2013

Redakcja zespół RW2010

Korekta Natalia Szczepkowska

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Marek Ścieszek 2013

Okładka copyright © Mateo 2013

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2013

e-wydanie I

ISBN 978-83-63598-91-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstało to opowiadanie, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Spis treści

Prolog.....	4
Rozdział 1 W Serso.....	9
Rozdział 2 Pan Scorsese.....	23
Rozdział 3 Pola śmierci.....	31
Rozdział 4 Nieudane polowanie.....	45
Rozdział 5 Początek końca.....	58
Rozdział 6 Tajemnica człowieka z klatki.....	67
Rozdział 7 Interludium.....	82
Rozdział 8 <i>Humanum ignoscere est</i>	87
Epilog.....	100
Słowniczek.....	110

Prolog

Nie do wiary, jak dużo czasu minęło od tamtych wydarzeń. Mimo to wciąż pamiętam niemal wszystko, co doprowadziło mnie do obecnej, niegodnej pozazdrosczenia sytuacji.

Oczywiście, wiele spraw mogłoby się potoczyć inaczej, gdyby nie klatka. Miała ona wpływ na losy przynajmniej dwóch ludzi. Ale i bestia dodała coś od siebie. Najpaskudniejszy twór Zamętu, tak szkaradny, że nawet nie miał swej nazwy – dopiero później sami mu ją nadaliśmy.

Nie! Nie my. Uczynił to Barnaba. Najlepiej będzie, jeżeli zacznę właśnie od bestii, a nie klatki. Zaczailiśmy się na nią, kiedy już za bardzo dopiekła nam jej wraza obecność. Tylko że czas mijał, a bestii ani widu, ani słyhu. Przedłużająca się cisza zdążyła niektórych z nas znużyć.

W pewnym momencie wprost z absolutnych ciemności dotarł do mnie dźwięk, gwałtowny, głośny i cholernie wręcz bliski. Aż podskoczyłem, sądząc w pierwszej chwili, że cierpliwość wreszcie została nagrodzona i bestia podeszła do nas niezauważona. Chwilę później powietrze zeszło ze mnie jak z przeklutego świńskiego pęcherza. Wściekłość zalała mój umysł, bowiem dźwięk powtórzył się i rozpoznałem w nim zwykle ludzkie chrapanie.

– Wasyl! – syknąłem ze złością. – Obudź tego durnia.

Usłyszałem w odpowiedzi ciche chrząknięcie, szelest czołgającego się ciała oraz echo przyciszonej, ale ostrej wymiany słów. Chrapanie ucichło, jednak złość wciąż we mnie kipiała. Cóż za dureń! Przez kogoś takiego mogła się nie powieść zasadzka, zaś o efekcie niepowodzenia lepiej było nie mówić.

Minuty wlokły się jedna za drugą, rozdrażnienie zdążyło wywietrzeć. Po tak długim czasie sam poczułem senność. Przyszła niczym wyczekiwany przyjaciel,

objęła i przytuliła. „Czemu nie miałbyś się zdrzemnąć? – zapytała uprzejmie. – Wyglądasz na zmęczonego. Przydałby ci się krótki wypoczynek przed walką”.

Posłuchałem. Zamknąłem oczy i natychmiast je otworzyłem. Sprawiał to serdeczny, ludzki śmiech. Zdumiałem się. Czyżby któremuś z moich chłopców puściły nerwy? Jednak nie. Zrozumiałem w jednej chwili – to śmiał się człowiek z klatki.

Uniosłem się do pozycji półleżącej.

– Stul pysk! – rzuciłem półgłosem.

Chichot ucichł, zastąpił go głos zmęczonego, więzionego od wielu dni człowieka.

– Zdechniecie, psi synowie. Chamy! Parweniusze! Czeka was śmierć, a ja będę się wszystkiemu przyglądał.

– Ktoś jednak przeżyje. A ty, sukinsynu, zdechniesz już jutro. Chyba wiesz jak, zdążyłeś się napatrzeć.

Poskutkowało. Zamilkł i aż do samego końca nie odezwał się ani słowem.

Początek końca nadszedł rychło. Wśród niemal absolutnej ciszy, przerywanej jedynie chrzęstem piasku pod moszczącymi się wygodniej chłopcami oraz odgłosami polujących w puszczy drapieżców, rozległ się dźwięk. Suchy, jakby przesypywały się kamienie. Za nim drugi, trzeci i kolejny. Ująłem natychmiast rękojeść miecza.

– Uwaga – rzuciłem ostrzegawczo w ciemność.

– Idzie. – To był głos Wasyla, mego najlepszego przyjaciela.

Dźwięki stawały się coraz wyraźniejsze. Już nie mieliśmy wątpliwości, że owo coś się zbliżało, że od walki dzieliły nas tylko sekundy.

Chrzęsty ucichły w jednej chwili, całkiem niedaleko od naszej kryjówki. Zastąpił je odgłos przypominający szorowanie, a w następnym momencie jakiś ciężki przedmiot uderzył z hukiem o ziemię. Wiedziałem co to takiego i mimowolnie się

skrzywiłem. Jednak właśnie na to czekałem, więc kiedy nastąpiło, zerwałem się na równe nogi, wrzeszcząc ile tchu w płucach:

– Teraz!

Równo z wrzaskiem ciemności rozjaśniły błyski z kilku stron, które przemieniły się w ścieżki żywego ognia. Ogień pomknął po ziemi, dotarł do podsyconych silnie łatwopalną cieczą stosów i eksplodował z gigantyczną mocą, w ułamku sekundy stając się rozmieszczonymi na obszarze kilkunastu jardów skupiskami żywołu. Mrok rozpierzchł się na boki, dzięki czemu mogliśmy widzieć znacznie więcej i wyraźniej.

Zobaczyłem bestię. Stała w samym centrum jasności, rozglądając się na boki, wyglądając na zdumioną widokiem zbliżających się pędem ludzi. Zaskoczenie jednak nie trwało długo. Bestia zaryczała gniewnie i zwróciła się w kierunku niewidocznej z naszego miejsca ściany lasu. Ale również stamtąd nadbiegali już ludzie. Widząc więc, że została osaczona, podniosła włochate łapska, rozcapierzyła długie pazury i ponownie zaryczała, tym razem jednak wyraźnie rzucając wyzwanie do walki.

Znałem bestię z opisu tych spośród chłopców, którym dane było już ją widzieć, więc nie przeraził mnie okropny widok. Przeciwnie, zapłonąłem chęcią zabicia jej. Jednak zdawałem sobie sprawę, że mimo naszej liczebności, to ona miała więcej atutów.

– Jednocześnie! – ryknąłem, aż w płucach zadrapało. – Ze wszystkich stron!

Dopadliśmy bestii, kilku pierwszych uderzyło, z miejsca godząc w miękkie części ciała. Krew splamiła jej białe, choć brudne futro. Ryk, jaki temu towarzyszył, usłyszano pewnie aż w Serso. Zamachnęła się łapskami, wytrącając nam broń i rozrzucając na boki.

Była ogromna, wzrostem przewyższała każdego z nas więcej niż dwukrotnie, wobec czego ciężko było dotrzeć żelazem do żywotnych części jej organizmu. W zasięgu naszych mieczy znajdowały się jej rozstawione szeroko na boki cztery pary pajęczych kończyn, oraz niższe fragmenty korpusu. Dotrzeć do łba było

niepodobnym. Nadto wywijała długim, pokrytym łuską ogonem, utrudniając nam dzieło.

To właśnie w znacznej mierze ogonem, nie tylko mocarnymi łapskami, rozrzuciła nas po bokach na podobieństwo roju uprzykrzonych komarów uderzonych krowim chwostem. Towarzyszył temu krzyk jednego z moich ludzi.

Spojrzałem. Chłopiec wił się po ziemi, trzymając oburącz za nogę. Spod palców błyskała bielą kość. Kilku innych krwawiło, widocznie musnęły ich długie szpony. Po walce, o ile przeżyją, trzeba będzie im zadać coś przeciw zakażeniu trupim jadem. W ogóle wszystkich nas to czekało. Ale w tym już głowa naszego felczera.

Tymczasem znów oblegliśmy bestię, nim zdążyła rozeznąć się w sytuacji i umknąć bokiem. W jasności bijącej od płonących naokoło stosów wyraźnie widzieliśmy, z jak ogromnym przeciwnikiem mieliśmy do czynienia. Uderzyłem w jedną z kończyn, ale miecz ześlizgnął się po chitynie. Uderzyłem raz jeszcze i znowu, mierząc w stawy. Nie trafiłem jednak.

Z podobnym skutkiem walczyli inni.

Co niektórym udawało się dziabnąć w łapę bądź w tors, jednak bez widocznego powodzenia. Tyle tylko, że więcej czerwieni splamiło białą sierść.

Ogon bestii zataczał szaleńcze kręgi, a kogo odnalazł, ten walił się na ziemię jak rażony gromem. Łapy również raz po raz utrafiały w ludzkie ciało. Walka nosiła wszelkie znamiona bezproduktywnego i niepotrzebnego wysiłku.

Ktoś zakwiczał obok mnie, podreptał kilka kroków do tyłu i zwałił się na ziemię, podrygując konwulsyjnie. Spod zaciśniętych na gardle dłoni tryskała obficie krew. Dwóch innych, odrzuconych na boki długim ogonem, również już nie wstało. A bestia wciąż wykazywała się niesłabnącą żywotnością, wciąż szalała, rycząc głośno, brocząc krwią i śliną.

Tuż obok mnie pojawił się Wasyl, złapał mnie za ramię i odciągnął poza zasięg potwornych, siejących śmierć członków bestii.

– Wszystko na nic! – wrzasnął wprost do mego ucha. – Nie damy jej rady!

Skinąłem głową, przedramieniem otarłem krew z twarzy. Miał rację. Bestia była nie do ruszenia.

Na hasło chłopcy odskoczyli od bestii. Jeszcze do niej nie dotarło, że tkwiła pośrodku jasności sama, jeszcze wymachiwała łapami i ogonem, jeszcze jej ryk wznosił się ku górze. Wreszcie się uspokoiła, powiodła spojrzeniem czerwonych niczym rubiny ślepiów po szeregu przyglądających się jej ludzi. Warknęła i poczęła się wycofywać, powłócząc tylko z lekka jedną z pajęczych kończyn.

Wkrótce znikła nam z oczu gdzieś poza obszarem rozjaśnianym przez płonące stosy.

Tyle tylko udało nam się dokonać. Raniliśmy ją w kończynę i spuściliśmy nieco juchy. Czy to mogło wystarczyć? Moje wątpliwości okazały się słuszne.

Odczekaliśmy jeszcze chwilę, aż ucichnie w dali chrzęst jej kroków, po czym zbliżyliśmy się do rozsianych wokoło ciał, w kilku przypadkach przerażająco nieruchomych. Wynik walki nie nastrojał optymistycznie. Trzech martwych, trzech kolejnych ciężko rannych. Niemal wszyscy pozostali z lekkimi obrażeniami.

Spoglądaliśmy po sobie w milczeniu, ciężko oddychając i zastanawiając się, czy warto było się na nią zasadzać. Zaś dźwięk, który rozbrzmiał z nagłą, uświadomił nam, że jednak nie.

Był to pobrzmiwający radością chichot człowieka z klatki.

W zwykłych okolicznościach być może bym zareagował, podbiegł i wraził mu ostrze miecza pod żebro, narażając się tym samym na straszny gniew mego pana, który jasno dał mi do zrozumienia, że los jeńca przestał już leżeć w moich rękach. Jednak to nie były normalne okoliczności. Pochyliłem więc głowę i nakazałem chłopcom zająć się leżącymi.

Wkrótce opuściliśmy miejsce naszej klęski.

Długo jeszcze dobiegał naszych uszu śmiech zamkniętego w klatce więźnia.

Rozdział 1 W Serso

Zastanówmy się. Który byłby najlepszy? Który, względnie którzy?

Człek z klatki byłby idealny, ale nie ja decydowałem o jego losie. Już nie, od kiedy dowiedział się o nim mój pan. Dziwne, że właśnie o nim pomyślałem chwilę po otwarciu drzwi tawerny.

Przybytek radości wszelakiej pękał w szwach. Kupa luda cisnęła się nie tylko wokół ław, ale i przy szynkwasio. Nie wraziłbyś brzytwy między półdupki debiutującej potłucznicy, taki panował ścisk. Gwar słychać było już na ulicy. Kiedy wszedłem, wiele głów odwróciło się w mój kierunek, ale tylko na bardzo krótką chwilę. Znano mnie. Zwłaszcza imię tego, któremu służyłem, obilo się mieszkańcom okolicy o uszy. Wśród ciemnych, śmierdzących wiatrem i śniętą rybą zaułków Serso krążyły domysły o jego ciemnych sprawkach. Mnie się jedynie obawiano, ale na dźwięk miana mego chlebowodawcy wszystkich oblewał zimny pot. Nawet najbardziej krewkich i szukających zwady z każdym marynarzy.

Zanim zdecydowałem się wejść dalej, chwilę jeszczeostałem w progu, łowiąc ukradkowe zerknięcia i samemu obserwując. Wyłuskiwałem wzrokiem z tłumu najbardziej rosnących, o barach jak menhiry, kwadratowych gębach, z żądzą mordy w zmrużonych ślepiach. Było paru takich, mnie się jednak nie spodobali. Wyglądali na niezłych zabijaków, ale też patentowanych głupców – trudno przewidzieć, jak tacy postąpią w chwili największego stresu. Ja potrzebowałem nie tylko silnych, ale i jako tako inteligentnych. Odważnych, ale również potrafiących realnie ocenić swoją wartość oraz wycenić ją należycie. Zarazem ludzi ambitnych – lub zdesperowanych – którzy nie umkną, kiedy się już dowiedzą w czym rzecz. Tak. W moich oczach ci drudzy mieli przewagę nad pierwszymi, nawet jeśli by wycena na pierwszy rzut oka wydawała nazbyt przesadzona.

Człowiekowi z klatki wystarczyłoby powiedzieć, że stawką będzie jego życie. Poszedłby na taki układ, jestem tego pewny. Być może by nie podolał. Kto jednak wie to na pewno? Drań dysponował niezłą krzepą, o czym zdążyłem się w swoim czasie przekonać na własnej skórze.

Trudno było wypatrzeć w woniejącej nieprzyjemnie ludzkiej mierzwie najbardziej odpowiednich, więc rażno wkroczyłem do sali. Nie zdziwiło mnie, że tłum rzedniał tuż przede mną, że robiło się jakby mniej ciasno, tak że mogłem iść niemal swobodnie. Opinia wyprzedzała mnie na wiele mil i to właśnie ona torowała mi drogę.

Pijana dziwka wychynęła ze zbitej masy ludzkich ciał jak zjawą, zarzucając ręce na moje ramiona. W jej oczach kłębiła się mgła.

– Za sztukę srebra zrobię coś, czego nigdy nie zrobiła ci twoja mat...

Nie dałem jej dokończyć. Ująłem ją delikatnie za przeguby dłoni, nie ścisnąłem nawet zbyt mocno, ale jej usta i tak skrzywiły się w bolesnym grymasie.

– Wybacz, Luna – wyjęczała, drżąc z przerażenia. – Nie poznałam cię.

– Idź już. I nic więcej nie mów.

Posłuchała. Nim zdążyłem stracić cierpliwość, ponownie wtopiła się w tłum.

Kogo by tu wybrać? Sprawa wymagała delikatnego podejścia, zadowolenie się byle osiłkiem nie wchodziło w rachubę. Mnie samemu nie zbywało na krzepie i umiejętności robienia mieczem, nadto miałem pod sobą dostatecznie wielu zdrowych kompanów. Moglibyśmy sobie poradzić sami, za którymś razem, a jednak musiał być to ktoś z zewnątrz, do tego dysponujący siłą i chęcią jej użycia. A raczej powinien. W razie niepowodzenia zawsze łatwiej odżałować obcego.

W niesłychanym gwarze udało mi się wyodrębnić czyjś o ton wyższy krzyk. Przy jednej z bardziej oddalonych ław, przylegającej do boksu dla zwierząt, wianuszek ludzi otaczał rozsiadłego jak udzielny pan draba. Drab pokrzykiwał rubasznie, wymachując przy tym dzierzonym w prawej dłoni cynowym kuflem. Z

kufla pryskała na siedzących piwna piana, ale tym zdawało się to nie przeszkadzać. Podeszedłem bliżej.

– Wówczas to zbliżyłem się do burty i zapytałem, czego chce. Próbował nadrabiać miną, trącał fale swym trójzębem, aby mnie przerazić, ale nie ze mną takie zabawy. „Czego?”, zakrzyknąłem, zaparłszy się oburącz o burte. „Czego mi się tu srożysz? Aegir, czy nie, zaraz chwyć cię za ucho i wytargam jak durnego smarka”. Tak też zrobiłem, gdy...

No tak. Heros-mitoman. Takich mi nie potrzeba, co to jeno mleć ozorem potrafią, bo tacy jedynie w opowieściach mężnych czynów dokonują, w życiu realnym atakując jeno z tyłu, wyłącznie niespodziewającego się niczego przeciwnika i za każdym razem w sile kilkunastu osób.

Ruszyłem dalej.

Zobaczyłem go i z miejsca wiedziałem, że to właśnie o niego mi chodzi. W jednej chwili zapomniałem o człeku z klatki. Nieznajomy robił wrażenie, bez dwóch zdań. Był ogromny. Kompletnie łysy, ze śmiesznie pozawijanymi wokół uszu wąsiskami. Wprawdzie wbity był w tłum siedzących przy jednej z ław, ale udziału w dyskusjach nie brał. Siedział tylko, ponuro wpatrzony w blat i bez pośpiechu popijał piwo z cynowego kufla z kapturkiem. Co chwila ocierał dumne wąsy wierzchem dłoni, by pozbyć się piany. Zainteresowało mnie szczególnie to, w co się tak wpatrywał. Był to sztylet o rękojeści wykonanej z długiego, prostego rogu, wbity w drewno. Rozpoznałem natychmiast jego pochodzenie. Róg należał niegdyś do jednorożca. Imponująca pod każdym względem broń.

Przepchnąłem się przez tłum, by wreszcie dotrzeć do celu. Siedzący naprzeciw łysego na mój widok usunęli się z ławy, czyniąc mi wolne miejsce. Spocząłem. W moim kierunku już sunął tawernik z piwem.

Mój wzrok wbity w łysonia był dostatecznie nachalny, aby w ciągu kilku chwil uciszyły się rozmowy przy ławie. Wszyscy spoglądali to na mnie, to na tamtego,

jakby oczekując, że za chwilę coś się wydarzy. Znali mnie i wiedzieli, czego się można po kimś takim jak ja spodziewać. Miał ich jednak spotkać zawód. Nie przyszedłem tu, aby szukać zwady. Przynajmniej nie tym razem.

Łysy, co ciekawe, ani na chwilę nie odwrócił zamyślonego spojrzenia od sztyletu. Nawet wówczas gdy pił piwo, czynił to, ledwie unosząc głowę. Zupełnie jakby mnie nie było. Choć jestem absolutnie pewny, że czuł na sobie mój wzrok. Zirykowało mnie w końcu jego uporczywe milczenie.

– Ejże! Dobry człowieku.

Podniósł głowę. Nareszcie. Nasze spojrzenia skrzyżowały się. Miał szare oczy, nieprzyjemne, ale spokojne.

– Mówiłeś coś, przyjacielu?

Jego głos był równie spokojny i beznamiętny jak spojrzenie.

– I owszem. Chciałbym, abys wyszedł ze mną na zewnątrz.

Zebrani wokół westchnęli jednym głosem. Wiem, jak zabrzmiały moje słowa, ale wrażenie było błędne. Łysoń uśmiechnął się tymczasem półgębkiem. On również musiał opacznie zrozumieć moje intencje.

– O! – zaciekawił się. – Chciałbyś, prawisz. A kimże to ty jesteś, abys mógł chcieć, przyjacielu?

Westchnąłem. Mógłbym oczywiście wyjaśnić wszystko od razu, ale odrazą przepełniała mnie myśl, że miałbym się przed kimś tłumaczyć. Zwłaszcza w przytomności osób trzecich, które posiadały wyrobione zdanie na mój temat i nie powinny go zmieniać. Zamiast więc wytłumaczyć, co i jak, pokazałem górną część uzębienia w niezwykle pewnym sobie uśmiešku.

– Dowiesz się na miejscu.

Skinął głową. W jego oczach, co zdumiewające, dostrzegłem smutek. Pioruńcu, synu Peruna! Ten typ naprawdę myślał, że wyzywam go do walki. Co więcej

wyglądało na to, że sam jej pożąda, mimo swego smutku i na przekór okazywanemu spokojowi.

– Skoro tak – potwierdził moje przypuszczenia – to poczekaj małą chwilkę. Dopiję tylko piwo. Tobie nie radzę. – Ruchem głowy wskazał mój kufel. – Alkohol spowalnia refleks.

Wzruszyłem ramionami. Ująłem cynę w garść i wypilem wszystko duszkiem. Zaśmiał się i dopił, co mu zostało na dnie.

Wstaliśmy jednocześnie, obserwowani zachłannie przez gawieź. On wyjął gładko sztylet z drewna, zupełnie jakby był wbity w masło, po czym zerknął na mnie spod byka.

– Zapłać za piwo. Później możesz już nie mieć okazji.

– Ja piję wyłącznie na koszt firmy.

Zabrzmiało odrobinę żałośnie, jakby przekomarzało się dwóch smarkaczy, który z nich wyżej nasika na pień drzewa, ale on się zaśmiał.

– Pogratulować. – Pokiwał głową z uznaniem. – Mnie nikt nigdy nie okazał podobnego respektu.

Na zewnątrz wyszedł pierwszy, ja za nim. Niespiesznie zszedł po schodkach i skierował się ku wylotowi bocznej uliczki. Kilka chwil później byliśmy sami, w ciemnym zaułku, po którego obu stronach wznosiły się przechylone do przodu kamieniczki. Środkiem przesmyku leniwie płynęły rynsztokiem fekalia. Panował półmrok i przyjemny chłód. Mogliśmy w odosobnieniu załatwić swoje sprawy, choć miałem niemal pewność, że tawerna właśnie się wyludnia i że trzeba działać szybko, zanim nie zwali się tu tłum żądnych widowiska obserwatorów.

Łysoń wy dobył miecz z pochwy, przyjął właściwą pozycję.

– Zaczynaj pierwszy, przyjacielu.

Zamiast pójść w jego ślady, skrzyżowałem ręce na piersiach.

– O nic więcej mi nie chodzi – odparłem. – Zaczynam. Nazywam się Gwidon Bagdanović, ale wszyscy znają mnie jako Lunę. Uważam, że tak jest zdecydowanie lepiej, bo głupiej nie można się chyba nazywać. Zamiast więc mówić do mnie „przyjacielu”, mów po prostu Luna. Co zaś do zaczynania, to...

Przerwałem. Spojrzałem groźnie w stronę wylotu uliczki i tam, gdzie przed chwilą był tłum, zrobiło się pusto. Nie potrzebowałem świadków. Uspokojony, podjąłem w przerwany momencie.

– W kwestii zaczynania: nie jestem tu, aby się z tobą bić. Nie po to mnie przysłano.

– Mów jaśniej, szanowny panie Luno.

Poczułem ukłucie gniewu. Wyraźnie ze mnie kpił.

– Luna – wycedziłem. – Bez pana. Mówi ci coś nazwisko Gregora Scorsese?

– Nic a nic. Ale nie przejmuj się tym, Luno Bez Pana. Kontynuuj, proszę, i nie zwracaj uwagi na to, że poczekam jeszcze z odłożeniem miecza. Kto wie, jak rozwinię się rozmowa.

– Nie wykluczam, że pójdzie w niewłaściwym kierunku, jeśli nie przestaniesz kpić.

– Och! Już dobrze. Luna, niech ci będzie. Gregor Scorsese. Powiniennem go znać?

Odetchnąłem głębiej, aby pozbyć się ciśnienia.

– Powinieneś, jako że postanowił zaprosić cię do swego zamku. Odmowa nie wchodzi w grę.

Pokiwał głową w wielce udanej parodii szacunku.

– Musi to być naprawdę wielki pan. – Wsunął żelazo do jaszczura i skłonił się dwornie. Pieprzony szutnik! – Skoro tak ładnie prosi, to nie pozostaje mi nic innego, jak przyjąć zaproszenie.

– Zaprasza, nie prosi – uznałem za stosowne poprawić go. – Gregor Scorsese nie zwykł prosić.

– No, no – powiedział tylko, kręcąc głową.

Czułem się jak w jakiejś kiepskiej sztuce napisanej przez idiotę. Złość napływała falami, z każdym przyływem coraz silniejsza. Aby ją zdusić, zapytałem:

– Jak się zwiesz?

Uśmiechnął się i skłonił raz jeszcze.

– Barnaba.

– Skąd?

Kątem oka dostrzegłem ruch. Gapie! Odwróciłem się, aby raz jeszcze przepłoszyć ich samym jeno spojrzeniem. Uprzedził mnie łysoń, robiąc coś, czego absolutnie się nie spodziewałem. Schylił się gwałtownie, ujął kamień wielkości pięciu rzepek kolanowych i cisnął w gapiących się. Było daleko, jakieś dwadzieścia pięć do trzydziestu jardów, ale on utrafił, gdzie przymierzył. Kamień trzasnął w łeb jednego z marynarzy; nieszczęsny runął na ziemię jak uderzony łapą niedźwiedzia. Tłum rozpierzchnął się jak karaluchy we wszystkich niemal kierunkach.

Widząc moją niezbyt inteligentną minę, wzruszył przepraszająco ramionami.

– Niestety jest to jedyny sposób, aby do nich dotrzeć. Niczego więcej nie rozumieją. O co pytałeś? Ach, Barnaba skąd? Znikąd. Wystarczy samo Barnaba. A teraz prowadź, Luno, bo kiedy doliczą się, że trzydziestu to trochę więcej niż dwóch, wrócą tu. A wówczas nie dane mi będzie poznać pana Scorsese, którego, co tu dużo mówić, pokochałem jak ojca.

Skinąłem głową, przyznając mu niechętnie słuszość. Opuszczając zaułek, nie wyczułem spojrzeń wielu par oczu. Minęliśmy nieszczęśnika rażonego tak celnie kamieniem.

Poznałem go z miejsca. To był ów fanfaron, który chwalił się, jakoby wytargał za uszy samego boga mórz, Aegira. Cóż, nastał kres życia herosa. A przyczynił się do

tego nie wykuty przez krasnale trójzab wszechmocnego bożyca, lecz zwykły kamień.
Jak przewrotny bywa czasem los.

– Chodźmy – mruknąłem. – Pan Scorsese nie zwykł czekać.

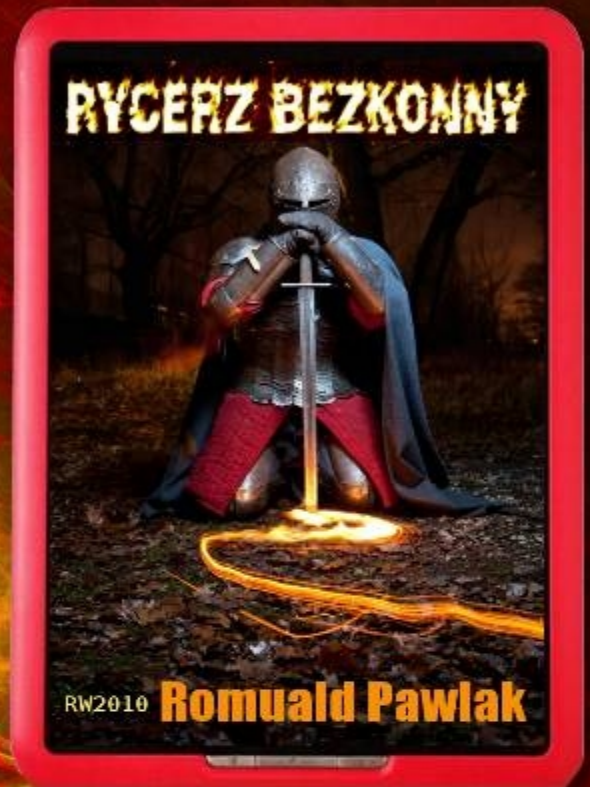
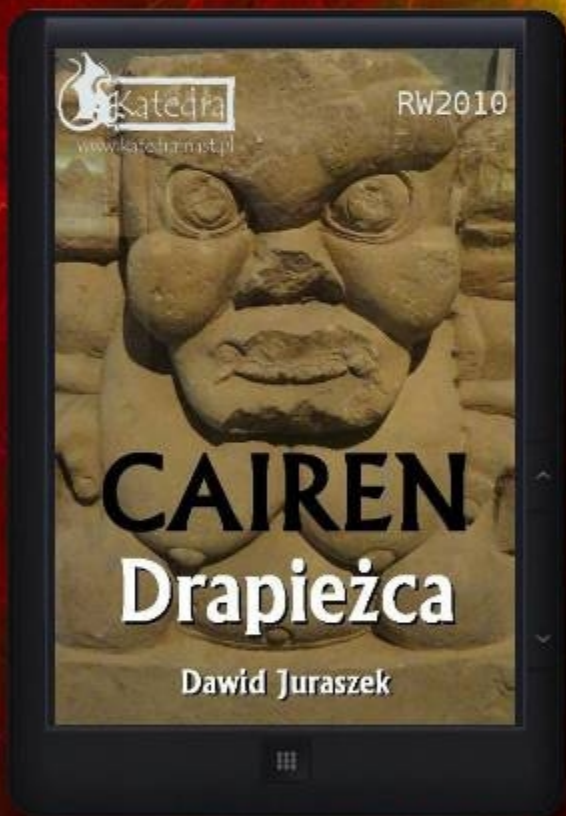
Tym razem Barnaba nie zdecydował się skomentować.

.

Oficyna wydawnicza **RW2010**

Na każdą kieszeń na każdy czytnik

Nie całkiem poważna fantazy o rycerzu bezkonnym, który zaczął od dorabiania pasowaniem zwłok, zrobił krótką ale intensywną karierę jako świecki inkwizytor, by wreszcie oddać się swemu prawdziwemu powołaniu: magii. Skoro nie całkiem poważna literatura, to należy się spodziewać i kultu Monty Pychotka, i morderczej mandragory, wystąpienia mumii Ramzesa XII, a nawet gadającego mchu.



Gdyby Marco Polo był Conanem Barbarzyńcą... miałby na imię Cairen! Orientalna fantazy awanturnicza z epoki fantastycznie sformatowanych podbojów mongolskich, z napinaniem mięśni i przymrużeniem oka. Opasły tom zawiera dziesięć opowiadań, z których połowa ukazała się w czasopiśmie SF, a pozostałe premierę mają tu i teraz!

**Dobre ebooki
w dobrej cenie**

szukaj na

www.rw2010.pl

lub w e-księgarniach

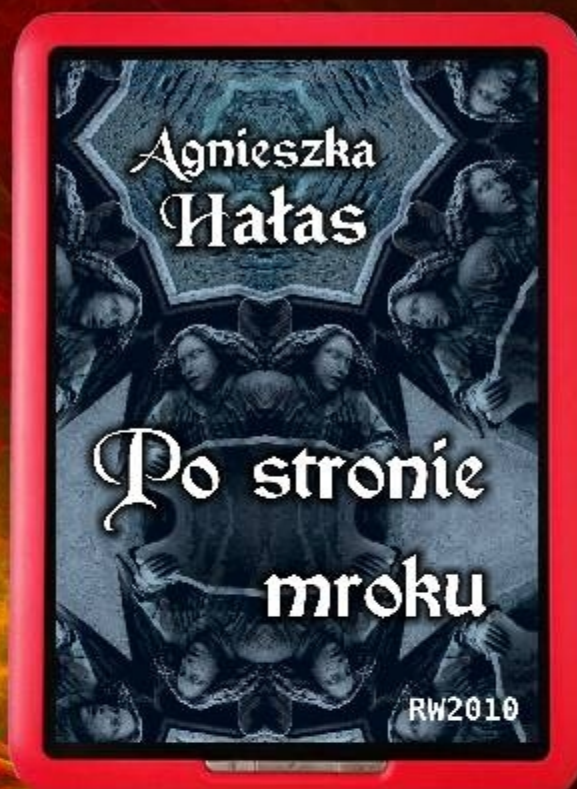
RW2010

REWOLUCJA WYDAWNICZA!

Oficyna wydawnicza **RW2010**

**Na każdą kieszeń
na każdy czytnik**

**Piekcło ma wiele obliczy, a wszystkie
one stanowią część planów Stwórcy.
Dwanaście opowiadań połączonych
wspólnym motywem Szeolu zabierze
was w podróż przez różne czasy
i miejsca – od współczesnej
codziennosci po rubieże zaświatów.
Zachowajcie czujność.
Demony czyhają.**



**Opowieść o skrzatach i ludziach,
radzących sobie w świecie bez słońca.
Jakim cudem ociemniały świat wciąż
trwa? Czyżby dało się oszukać los?
Czy ziarnkiem piasku, zgrzytającym
w żarnach przeznaczenia, może być
dziwna zielonooka dziewczynka?
Opowieść o wyborach, wolnej woli,
różnych obliczach miłości...**

**Dobre ebooki
w dobrej cenie**

**szukaj na
www.rw2010.pl
lub w e-księgarniach**

RW2010

REWOLUCJA WYDAWNICZA!